

Są aktorzy, którzy każdym słowem, gestem, a nawet milczeniem dowodzą wielkiego talentu. To właśnie oni, niezależnie od zmieniających się mód i upodobań publiczności, pozostają wciąż niezmienni — wielcy. Mówi się o nich, że tworzą historię teatralnej sztuki. Lecz czy nie należy przypisać im więcej? Czyż nie dzielą się z nami tym, bez czego często sami nie mogliby istnieć: własną miłością do teatru? Do nich należy Irena Eichlerówna.

WYZNANIA EICHLERÓWNY

Irena Eichlerówna (w kostiumie z tragedii Racine'a) i William Horzyca.
Poznań 1949 r. Fot. Tadeusz Kąrmierzak

Na prośbę p. Eichlerówny publikujemy fragment jej wspomnień o Wilamie Horzycy (Wilam Horzyca był jednym z pierwszych dyrektorów Teatru Polskiego we Wrocławiu):

HORZYCA i pączki. Tak mogłabym określić wspomnienia o moim profesorze, dyrektorze i reżyserze. Miał zwyczaj — wykładając w Szkole Dramatycznej w Warszawie historię dramatu — zbierać kupkę swoich uczniów z naszego roku nie na szkolnych krzesłach Konserwatorium na Okólniku, ale obok, przy stoliku cukierni Starowiejskiego, i zapychać zgłodniałych wiedzy „artystów” (przyszłych) pączkami. W przerwach między pączkami odbywały się wykłady. Przeważnie recytował Norwida, ale coś niecoś mówił przecież i chyba wcale nieźle, skoro po tym pokarmie wiemy do dziś sporo o historii dramatu, jak i teatru, nie licząc Norwida. Myślę, że nudził się śmiertelnie w charakterze oficjalnego profesora i wolał wydawać pieniądze, jakie w Szkole Dramatycznej zarabiał, na pączki, i mieć spokój w głowie. Całe już życie pozostawał nam taki pączkowy...

Okropnie nie lubił sprawiać jakichkolwiek przykrości swoim aktorom. Zazwyczaj wszelkie z nimi kłopoty zawiązywał raczej ich rodzinom; najlepiej mężom i żonom. Ci wszystko krótko streszczali zainteresowanym w domu i w taki sposób sprawy chyżo się załatwiała. We Lwowie były masy śniegu i sanki... Przed swymi ukochanymi premierami wielkiego repertuaru poetyckiego pakował nas, ile się zmieściło, do sanek. Po takim rażnym spacerku zdrowotnym graliśmy żwawo, a on się widocznie uspokajał, skoro z clemności kulis, zasłuchany w swoją wielką poezję, jednak na scenie się nagle nie zjawiał w zapamiętaniu, między aktorami, podczas spektaklu. Zresztą zawsze rozstawialiśmy niewidoczne strażę, na wszelki wypadek, które w razie czego zatrzymywały go „za frak”. Na „wielkie” premiery bowiem przychodził we fraku czy smokingu, choć potem nie chodził nigdzie. Zazwyczaj wracał ze swoją żoną, dobrą i kochaną przez nas wszystkich panią Stasią, do domu. Wielkie znaczenie miało dla nas jego ubranie na premierach: poznawaliśmy wówczas, czy jest „święty”. Czasem Horzyca chadził z nami do winiarni słynnego Atlasa na lwowskim rynku, gdzie siedzieliśmy przy beczkach i coś jadło (bo Horzyca nigdy nic nie pił, prócz czarnej kawy), czy też do restauracji „Kozioł”, ale tam było dla nas strasznie drogo. Horzyca było wszystko jedno,

ni. Horzyca go miał. Był poetą niewątpliwie, tylko nieludzko ambitnym. Moim zdaniem, uważał słusznie czy niesłusznie, że jako pisarz nie dorówna tym, których uwielbia, a ponieważ tylko to mogłoby go zadowolić, wolał nie pisać wcale. W każdym razie twardy upór tego człowieka przy wystawianiu wielkich dzieł pozostał niczym nie złamany. Strasznie go brak.

Poniższy tekst jest odpowiedzią p. Ireny Eichlerówny na mój list, jaki wysłałam do Niej.

HALINA MURZA-STANKIEWICZ



Irena Eichlerówna w „Profesji pani Warren”.
Fot: Edward Hartwig

życzliwą — taką, jaką kiedyś w przeszłym życiu była w Wilnie. Któż nie jest lasy na uczucia serdeczności. Zawsze polykam ten haczyk. Tak jak i teraz: gdyby Pani nie napisała do mnie „Wrocław bardzo Panią kocha”, nie wdawałabym się w te dyskursy. Choć wiem naturalnie, że to nie jest prawda, bo i cóż ja mogę obchodzić Wrocław (Oczywiście, grałam tam — wieki temu, w czasach jeszcze pionierskich Wrocławia, kiedy było słychać jakieś strzelanie wleczorem i w nocy, gdy dyr. Horzyca reżyserował „Profesję pani Warren” Shawa, gdy rolę Franka grał jeszcze tak lubiany przez niego, niezjący już nasz aktor Stanisław Jasiukiewicz). Żeby jeszcze złożyć moją wizytówkę, przypomnę, że dość długo grałmy we Wrocławiu z Władysławem Hańcżą „ulubioną” naszą sztukę „Kochany kłamca”, gdy jeszcze wiernym entuzjastą naszej pracy był niezapomniany prof. Jan Kott i wielu innych profesorów wyższych uczelni Wrocławia, aż człowiek jest szczęśliwy pamiętając o tym.

To nie Wrocław interesuje się nami, to nas interesuje Wrocław — teatr Grotowskiego, do którego w Warszawie jak i za granicą nigdy dostać się nie można. I teatr Tomaszewskiego, do którego trzeba protekcji Ministerstwa Kultury, żeby się dostać. Bo Grotowski twardy, sam dyryguje, a nie każdy znowu taki zdrowy, żeby stać w ogonku jak „za mięsem”. Ale trzeba przestać żartować. Nie jestem tak bardzo „teatralną” osobą, chyba nigdy nie byłam, że mnie raczej zawsze „osoba prywatna”, a to się mści. Nigdy o teatrze nie marzyłam, nie „śniłam od dziecka” ani potem, wszystko zawsze stawało się raczej przez przypadek. Ale istnieje maksyma, a raczej jakby błogosławieństwo człowieka teatru na moją drogę, które w życiu moim znajduje potwierdzenie. Napisał to przed wojną w „Słowie” prof. Mieczysław Limanowski. To jedna z moich pierwszych recenzji, z pierwszych moich prac, a pierwsza poetycka: „...niech powieści u siebie na naczelnym miejscu podobiznę maski tragicznej i niech modli się do Muz, aby maska ta stała się na drodze jej Przeznaczenia talizmanem i różdżką. Natchnienie jest zawsze Łaska zesłana przez



też do restauracji „Kozioł”, ale tam był dla nas strasznie drogo. Horzycy było wszystko jedno, kto i jak mówił, upajał się żywym brzmieniem utworu.

Jestem pewna, że słowo pisane było dlań martwe. Utwór zył wówczas, gdy był mówiony. Spotkałam dwóch takich ludzi. Wielki poeta Jan Lechoń „Pana Tadeusza” znał oczywiście na pamięć, ale zawsze prosił kogoś, aby mu czytał jakiś fragment, słuchał tylko obrócony tyłem, bo płakał. Horzyca płakał, ale stał przodem. Cierpiał ogromnie, gdy to aktorom przeszkadzało i nie mogli grać. Lubił ten świat wielkorepertuarowy. Lubił w nim żyć.

Moda teatralna, że publiczność ma w teatrze siedzieć i myśleć, nie odpowiadała mu chyba — tak mi się wydaje. Myślał dostatecznie wiele i obawiał się zapewne, a publiczność owszem, siedzi i myśli, ale to samo, co On, że się okropnie nudzi. Zresztą nie należał do typu ludzi teatru którzy stule odkrywają Amerykę, jakoś wiedział, że wszystko raczej zostało już od dawna odkryte. Nauczył nas cenić Racine'a. Po wojnie wystawił w Poznaniu „Fadre”, za co pozostał nie tylko bez paćzków... Uratował go Axer i jego Teatr Współczesny „Profesją pani Warren”. Potem objął dyrekcję Teatru Polskiego we Wrocławiu, gdzie także wystawił „Profesję pani Warren”. Potem, już jako dyrektor Teatru Narodowego w Warszawie, znów z uporem wystawił „Fadre”, zawsze w scenografii Jana Kosińskiego. Wówczas Horzyca już omal nie dostał nagrody państwowej, ale nie zdążył. Horzyca był jednak człowiekiem ufnym. Ufał w przyzwołość ludzką. Wierzył ludziom, ich słowom, w przyjaźń, więc i oddał ludzi swoim zaufaniem. Po wojnie to jego przyzwołość okazała się zapewne trochę księżycowa — spotkało go wiele ciężkich zawodów, pewnie po nich chorował ciężko.

Nie wiem, co to jest talent, pewnie kolektwo, ale wiem, że chyba od początku świata pewni ludzie mają dar wizji, którego Inni są pozbawie-

” **N**IE SĄDZĘ, aby współczesny teatr dawał odpowiedź na pytania najbardziej człowieka trapiące. I nie sądzę, aby współczesne sztuki były dziełem człowieka dla człowieka. Dla części pewnego rodzaju ludzi, tak. Oczywiście zbyt mało wiem, zbyt mało widziałam ale autorzy chyba jednak piszą nade wszystko dla siebie. Na pytania zapewne odpowiadają, ale trapiące ich samych, ich mózgi czy ich wyobraźnię. To jest raczej wiedza o sobie i o swoim świecie. Stąd i to pragnienie w nas, aż tęsknota, za „normalną” sztuką, jak to ludzie nazywają, za „normalnym” przedstawieniem — przynajmniej masa osób przyjeżdżających do kraju w odwiedziny, czy tych radzących się, do którego teatru iść, na jaką sztukę „nie wykrzywioną”, głośno te pragnienia czy życzenia swe wypowiada. Jak to nigdy nie wiadomo, co dla kogo jest nudne! Myślę, że na świecie istnieją już dwa teatry — jeden dla normalnych czy też dławiących się w brzydocie, i drugi — dla ludzi szukających dróg dla teatru. Zresztą tych dróg, „nowego”, szukają ciągle wszyscy od wieków chyba. W każdej dziedzinie przecież. A w naszej — inscenizatorzy, scenografowie, najmniej niestety aktorzy, są po okresie zdławienia ich. Bo jak dotąd samego teatru jednak nie zdławił ani film, ani telewizja. Ja oczywiście jestem przywiązana do teatru... Teatr w tej chwili tworzą jeszcze raczej dyrektorzy, którzy są reżyserami. A dla aktora trud nad rolę to praca jak w każdym zawodzie, czasem istotnie wyczerpująca wyjątkowo, psychicznie, nie tylko fizycznie. Lecznicze źródła naszej twórczości należą raczej do przeszłości.

A rekompensata?.. Może sam fakt pracy? Interesującej nas oczywiście. A jaką publiczność lubiłabym? Serdecznie! Naszą, po polsku

jej Przeznaczenia talizmanem i różdżką. Natchnienie jest zawsze Łaską zsyłaną przez niebo, ale Łaska ta idzie wedle serca, które prosić umie”. I ja się modliłam, jak i wszyscy pewnie. Ale nie miałam możliwości, aby zawsze na naczelnym miejscu maska tragiczna była mi różdżką. Natomiast, choć straciłam w Warszawie w ogóle wszystko, recenzja prof. Limanowskiego jednak się uratowała. Oto Łaska losu. Skoro mowa o losie, zmoczyła mnie już ta „Zabcwa w koty”, tyle przedstawień. Wystarczy.

Teraz pracuję trochę nad „Mindowe” Stowackiego. Zawsze tę sztukę lubiłam. Inscenizuje ją reżyser Ford (nie prezydent Stanów Zjednoczonych). To jego płaca dyplomowa. Lubię prace dyplomowe naszych młodych reżyserów — przynoszę im tzw. szczęście, a to w naszym zawodzie piękne uczucie. Kiedyś brałam udział w pracy dyplomowej Erwina Axera w Teatrze Narodowym... „Panna Julia” Strindberga ze świetną w roli Krystyny Zofią Małynicz. Po wojnie uczestniczyłam w pracy dyplomowej Talusza Łomnickiego w Teatrze Współczesnym Jednooktówki japońskiej „Jestś węgna” — i z Łomnickim. No właśnie. A teraz Bernard Ford ma robić „Mindowe” — grają Żelnik i Niemen. Trochę sensacji. Zawsze bliska mi praca w wielkim repertuarze. Tymczasem więcej już chwalić nie mogę naszego Stowackiego... Jak zawsze, ciągle po prostu czytam ten tekst i to jest całe moje przygotowanie do sztuki i postaci. Taka praca oczami. Wtedy widzi się wszystko. Natomiast nie widzę jakby w ogóle żadnych „dóbr” ani też wielkiej cywilizacji, aby kształtowały one pojęcie szczęścia. Największym nieszczęściem współczesnego człowieka na świecie według mnie jest niezadowolenie. A pewnie i największym szczęściem — zadowolenie”.